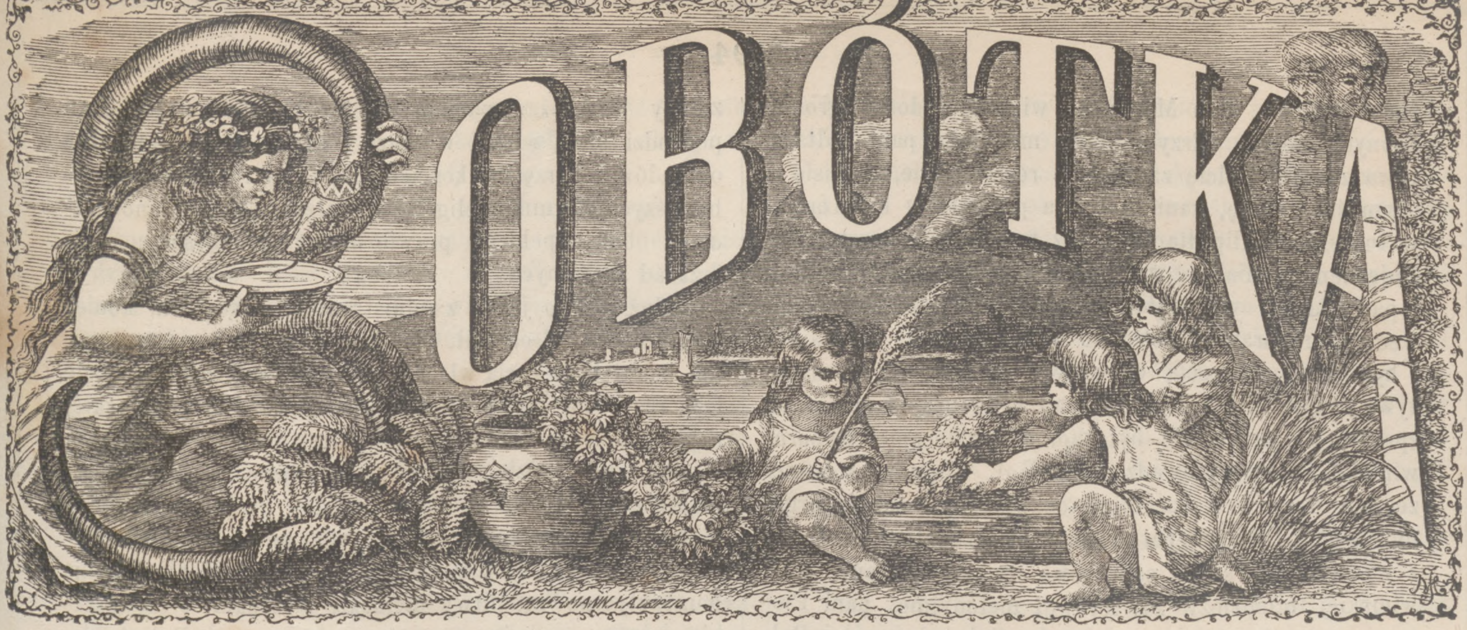


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 25. Poznań, dnia 18 czerwca 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

III.

Przymierza.

Dzień 5 maja 185* był dniem niedzielnym i dla miasteczka D. nadzwyczaj uroczystym. W tym to dniu bowiem pan Tomasz Mutusiński, rodzony brat znanego nam pana Walentego, zarządzca lasu o pół mili zaledwie od miasteczka D. leżącego, najstarszą córkę za mąż wydawał. Panna młoda przystojną była i bogatą, pan młody nie ustępował jéj ani w urodzie, ani w majątku, przytem pan Tomasz lubionym był i szanowanym w całéj okolicy, spodziewano się więc sutego wesela i mały kościołek miasteczka D. szybko ciekawymi widzami się zapełnił. Kościołek tén był typem małomiejskiéj świątyni. Zewnątrz godną pochwały, świecił czystością, wewnątrz brudny był i zaniedbany, o jednéj nawie, dwoma rzędami skrzypiących ławek opatrzonéj, z kazalnicą do małéj przytykającą zakrystyi, z chórem i piszczącemi organami, które się ponad głównem wznosiły wejściem. Ołtarz główny, wielkim ozdobiony obrazem, drewnianą od ludu przedzielony był zagrodą; po obu jego bokach znajdowały się wygodne ławeczki, dla okolicznych przeznaczone właścicieli. Już gruba pani Baltazarowa, z całym rzędem cieniutkich jak pajęczyna córeczek, pompatycznie w przyołtarzowych rozsiadła się ławkach, obok poważnéj pani Piotrowéj, w ogromnéj zatopiwszy się książce, zaledwie skinieniem głowy na jéj „Niech będzie“ odpowiedzieć raczyła, już stary pan major przy drzwiach zakrystyjnych w wygodnym zasiadł fotelu, już cała arystokracya miasteczka D. w świątecznych strojach obadwa rzędy ławek zajęła, już prosty lud z okolicznych wiosek resztę kościołka napełnił, już Katalani miejscowa, najmłodsza córeczka organisty, w białéj sukience z namaszczeniem ukazała się na chórze, wreszcie ksiądz proboszcz na kazalnicę wstąpić się gotował, kiedy tuż przed kościołem wesoła ozwała się muzyka, turkot powozów zatrząsł szybami świątyni, gwar i rozruch rozległ się wśród ludu i środkiem nawy młoda para, najbliższą otoczona rodziną, przez tłum ciekawych ku ołtarzowi przedzierać się zaczęła. Fatalna to chwila dla oblubieńców!... wszystkich oczy na nich są tylko zwrócone, każdy z natężeniem śledzi wyraz ich twarzy, niejeden cichym szeptem uwagi swoje sąsiadom udziela!... Nie dziw więc, że panna młoda chusteczką zapłonione zasłoniła lica, że pan młody rozpaczliwie kapelusz obracał w ręku i że obadwaj odetchnęli głęboko, kiedy szanowny ksiądz proboszcz, wstąpiwszy na kazalnicę, ewangelią czytać rozpoczął. Tą razą nawiększym nawet pobożnisiom kazanie zbyt długiem się wydawało. Państwo młodzi oswoili się zwolna z przykrością swego stanowiska, pani Szydełkowa, małżonka najlepszego szewca w miasteczku, dosyć miała czasu do zbadania młodéj pary i jéj rodziny i do oznajmienia swoim kumoszkom, że panna zbyt wiele łez ociera, że pan młody wygląda zbyt nieśmiało, że pani Tomaszowa tę samą wzięła suknią, którą przed rokiem na ślubie jakiéjś tam Jagusi świeciła, że pan Tomasz jest bardzo wzruszony, że pan Walenty spogląda jak niedźwiedź, że drużki mizdrzą się zanadto; słowem, że wszystkim wieleby mo-

żna zarznić. Pan Major, ku wielkiéj radości zgromadzonych żaków, zdrzymnął się na fotelu, pani Baltazarowa zganiła Felcię za zbytnie roztrzepanie, a Misię za grymaśną minkę, pani Piotrowa patrzała w księdza jak w tuza, pan Filip Baryłkiewicz na progu zakrystyi z uśmiechem kłaniał się znajomym, pan Baltazar, pan Piotr i pan Maciéj, wygodnie na zakrystyjnéj zasiadłszy ławeczce, rozprawiali szeroko o przyszłych urodzajach i byliby z pewnością o zalety swéj psiarni spór nader żywy rozpoczęli, gdyby ich pan Filip na zbadanie téj sprawy do siebie nie był zaprosił, zalecając wyborne winko i świeżo sprowadzone minogi. Ksiądz proboszcz zeszedł wreszcie z kazalnicy, ozwały się piszczące organy, organista nosowym zaśpiewał dyszkantem, Katalani z wyciągniętéj szyjki sopranowe wydobywał tony, chór wiejskiéj młodzieży zawtórował melodyjnie, pani Piotrowa zatopiła się na nowo w swéj księdze, pani Baltazarowa pochyliła się nad ławką, Felcia oczki utkwiła w książeczce, Misia wypogodziła twarzyczkę, pani Szydełkowa półgłośną zaczęła litanią, panowie gospodarze stanęli w progu zakrystyi, głos dzwonka śpiącego przebudził majora — i ksiądz proboszcz wyszedł z mszą świętą.

Jeżeli który z was łaskawi czytelnicy był w Rzymie, w kościele św. Piotra, na wielkiéj mszy wielkanocnéj, jeżeli się poddał zupełnie wpływom przepychu wspaniałych obrzędów, cudownéj muzyki gregoryańskiéj, jeżeli później, na ojczystą powróciwszy ziemię, w cichym wiejskim kościołku, na nabożeństwie się znajdował, jeżeli się przysłuchał fałszywéj muzyce, prostym śpiewom, szeptowi modlitw, choralnemu „Zawitaj, zawitaj!" głośnéj ministranturze czerwono ubranych żaków, jeżeli się przypatrzył ubogim ścianom, pokornym twarzom i różnobarwnym prostego ludu ubiorom, — z tém bez wątpienia wyszedł przekonaniem, że tylko z pośród murów wiejskiego kościołka szczera, gorąca ku niebu wzlatuje modlitwa. Jest to naturalne i konieczne wrażenie. W każdym kościele modlitwa jest inną, bo każdy innem duszę naszą przejmuje uczuciem. Tam, gdzie panuje przepych, widzimy Boga w całym majestacie chwały i w pokorze, bojaźni i poczuciu własnéj nicości śpiewamy hymn uwielbienia. Tam, gdzie nas prostota i ubóstwo otacza, widzimy Boga w nędznéj szopie, na sianku, w gronie pasterzy i jakiś błogi spokój, ufność i odwaga napełnia serca nasze, zlewając się w jednę modlitwę szczeréj dziecięcéj miłości. Temże wrażeniem, które tutaj przeważnie architektury i muzyki jest owocem, przejmują nas różne utwory religijne z dziedziny poezyi i malarstwa. Przeciwstawmy Messyadę i Przenajświętszą Rodzinę, szkołę włoską i niderlandzką, a też samą co do wpływu na umysł nasz poznamy różnicę. Pomimo tych nieuniknionych, jak powiedzieliśmy, wrażeń, któż z was, łaskawi czytelnicy, w szczerość modlitwy prostego ludu uwierzyć jest zdolny? Modlitwa ta jest czysto wargową, rzadko kiedy płynie ze serca. Lud, zmysłowy, na zewnątrz tylko żyjący jak dziecię, nie może mieć jasnego o religii pojęcia, nie może jéj istoty ani pojąć rozumem, ani poczuć sercem, bo ani rozum, ani serce dostatecznie ku temu nie są rozwinięte. Tylko to, co nadziemskie, nieodgadnione, mistyczne przejmuje go bezmyślną bojaźnią; tylko ten pierwiastek mistyczny zdolny jest usz...owaniem przejąć go dla religii. Ztąd pochodzi sil... ...ra w czary i cuda, uszanowanie dla obrzędów i sprzętów kościelnych, przestrzeganie najdrobniejszych formuł religijnych, nienawiść ku innowiercom, obok zupełnego prawie braku pobożności, uczucia i zasad moralnych.

Już dawno jeden z ministrantów dzwonkiem koniec podniesienia był ogłosił, kiedy pan Piórkiewicz, mąż pełen nauki i poczucia własnéj godności, przeżegnawszy się trzy razy, zwolna prostopadłe względem kuli ziemskiéj zajął położenie. Stał, jak zwykle, tuż przy drewnianéj ołtarza przegrodzie, obok bocznéj ławeczki, na któréj ostatecznym rogu, w bezpośredniej z nim styczności, piękna siedziała Zosia. Piórkiewicz miał minę nadzwyczaj poważną i słodką, czytał w jakiéjś staréj księdze bombastyczne modlitwy łacińskie i czasami tylko wielkie, piwne, spokojne oczy po całym powiódł kościele. W chwili, kiedy starannie białą chustką, zbrudzone otrzepywał kolana, oczy jego, błądząc w okolicach przeciwległéj zakrystyi, na ciekawym i niespodziewanym zatrzymały się przedmiocie. Przedmiotem tym był Staś. Staś, obawiając się ojca, proboszcza i zł śliwości ludzkiéj, bardzo rzadko do D. na nabożeństwo przyjeżdżał. Tą razą jednak przybycie jego zupełnie było uzasadnionem. Znał pana Tomasza, bywał często w jego domu, nic więc dziwnego, że za święty sobie poczytywał obowiązek, na ślubie jego córki stanąć osobiście. Nabrał więc odwagi i, w największéj przed ojcem tajemnicy, na gniadoszu do D. na mszą pośpieszył. Biedna Zosia, siedząc naprzeciw zakrystyi, spostrzegła go niezadługo, zarumieniła się aż po jasnych włosów korzenie i, nie mogąc silnie bijącego uspokoić serduszka, całą twarzyczkę utopiła w książce. Czy się modliła, czy myślała w ogóle o Bogu, — któż za to ręczyć może? Piórkiewicz dostrzegł jéj pomięszanie, widział rzewny wzrok Stasia, nieustannie ku niéj zwrócony, przygryzł wargi, westchnął głęboko i ze słodką miną półgłośną zaczął modlitwę.

Msza się skończyła. Poważni obywatele miasteczka D. w czarnych, uroczystych strojach, z zapalonemi w ręku świecami, w dwa równoległe rzędy ustawili się środkiem kościoła, młoda para ze drżeniem uklękła na stopniach ołtarza i ksiądz proboszcz rozpoczął obrządek, ktorego pięknym a niezamężnym czytelniczkom naszym jak najprędzéj doczekać się życzymy. Nie jedna z młodych drużek myślą do téj radosnéj przeleciała chwili; nawet w figlarnych oczach Kachny jakiś tęskny zaświecił płomyczek, z różowych ustek zniknął uśmiech płochy, twarz jéj spoważniała widocznie. A cudną była Kachna w téj chwili!... W białéj, powiewnéj sukience, niebieską przepasanéj wstęgą, z bladą w kruczych splotach różyczką, drżąca uczuciem rozkoszy i pełnego nadziei niepokoju wyglądała jak aniołek, który z ram ciemnego uleciał obrazu i, bladawego światła otoczon aureolą, ukląkł na stopniach ołtarza. Kachna była zachwycającą, — cóż więc dziwnego, że niedaleko stojący Kubuś w zamyśleniu nie spuścił z niéj oka. Oczy ich spotkały się na chwilę. Kubuś zmięszany spojrzał gdzieś w stronę, Kachna uśmiechnęła się lekko, a jakaś dziwna tęsknota wyraźniéj jeszcze w jéj płomiennych malowała się źrenicach. Skończył się ważny obrządek, nowożeńcy z rodziną opuścili kościół, a za nimi tłum ludu tłoczył

się ku wyjściu, aby nic z weselnego nie utracić pochodu. Z powszechnego zamięszania skorzystał Staś; zbliżył się niechcący do Zosi i szepnął jéj na uszko:

„Dzisiaj o piątéj czekam przy drogowskazie.“

„Będę“, dosłyszalnym zaledwie głosem odpowiedziała Zosia. Staś uradowany zwrócił się w inną stronę i oko jego spotkało się z wielkiém, piwném spokojném okiem Piórkiewicza. Tymczasem Kubuś postępował tuż za Kachną.

„A kiedyż nam tak pobłogosławią, Kasiuniu?“ zapytał z uśmiechem. Kachna zwróciła ku niemu zapłonione lica, spojrzała wzrokiem żalu i wyrzutu, ale żadnéj nie dała odpowiedzi. Lud cały wysypał się przed kościół. Część znaczna otoczyła młodą parę, zewsząd posypały się życzenia, uwagi, żarciki, pani Szydełkowa dusiła w objęciach najdroższą panią Tomaszową, pan Tomasz zapraszał znajomych na obiadek, młodzież całowała pana młodego, panny wypuścić nie chiały téj ze swych uścisków, która przed chwilą do ich grona liczyła się jeszcze, konie rżały i niecierpliwie kopytami rozbijały ziemię, parobkowie nawoływali się wzajem, grajkokowie hucznego rzępolili obertasa, — słowem ogólne tam panowało zamięszanie. Na drugiéj stronie pani Baltazarowa czule żegnała się z panią Piotrową, Felcia, Fruzia, Misia, Zusia i Pepcia dygnęły bardzo grzecznie, pan Piotr, pan Baltazar i pan Maciéj rozpoczynali spór przerwany, obiecując żonom rychły powrót do domu. Zajechały karety, bryczki i karyolki i niezadługo tumany kurzu zakryły odjeżdżających. Tymczasem młoda para, rodzina i goście usadzili się na wozikach, muzyka odezwała się huczniéj jeszcze, ostatnie rozległy się okrzyki pożegnania i szczęśliwi wyciągniętym kłusem do cichéj a strojnéj puścili się zagrody. Szczęść im Panie Boże w téj długiéj a uciążliwéj wędrówce!...

Wesoło i ludno w domu pana Filipa. Gościnne pokoiki zaledwie objąć mogą znaczną liczbę łaskawych gości, pan Filip, Kubuś i posługacz sklepowy z pośpiechem roznoszą wino i zakąski, dym tytuniu w gęstych ulatuje obłokach, brzęk talerzy i kieliszków, gwar żywych rozmów aż po za domem się rozlega, a nad tą chaotyczną mięszaniną tonów góruje głośny, rubaszny śmiech pana Filipa. W pierwszym pokoju okoliczni właściciele dóbr rozsiedli się na krzesłach i kanapkach, pan Maciéj, Piotr i Baltazar kłócą się w najlepsze, wytrawny węgrzyn płynie obficie, tu kwitnie preferansik, tam toczy się dyskurs polityczny, tu gospodarski, tam pan Filip opowiada facecyjki, a wszędzie wesołość serdeczna. Przyboczny pokój zajęli obywatele miasteczka, nie tak tam głośno i szumnie, rozmowa toczy się zwolna i poważnie, cienkie piwo bieleje w szklenicach, gdzieniegdzie krótka, niemiecka fajka rozlewa wonie prostego kanastru, — widocznie wesołość w „szlacheckiéj“ panująca izbie, na „obywatelskich“ umysłach nie miłe robiła wrażenie. Pan Walenty siedział przy piecu i w milczeniu czytał Dziennik Poznański. Nie spieszył się, jak widzimy, na wesele swéj siostrzenicy, poczęści aby ulubionego nie stracić zajęcia, poczęści aby uniknąć widoku pierwszych wybuchów radości, poczęści, aby jakąś przynajmniéj przykrość rodzonemu wyrządzić bratu. Piórkiewiczowi duszno było w dymnéj atmosferze, stanął przy otwartém oknie i w zamyśleniu przyglądał się kurom, gołębiom i wróblom, wesoło po obszernem podwórzu bujającym. Rozmowa zgromadzonych obywateli obracała się około odbytego co dopiero ślubu.

„A wiecie sąsiadku“, zawołał jowialny pan Kozik do siedzącego obok pana Szydełki, „że mi świeca gasnąć zaczęła przy ołtarzu?... Już się knotek czerwienił i syczał i gdybym jéj ręką nie był zasłonił, byłaby zgasła z pewnością. To nie dobry omen sąsiadku, jak Boga kocham, nie dobry!“

„A ja pannie na suknię nadepnąłem!“ odpowiedział Szydełko.

„A panu młodemu odpięła się wstążka!“, dorzucił pan Majcher, mistrz kunsztu rzeźniczego.

„Oj! oj! niedobrze!“ westchnął pan Kozik. „Może być śmierć, bieda, niezgoda, broń Boże, aby nie gorzéj jeszcze.“

„Bo to marnisz“ „całą gębą ten młodzieniec!“ nosowo zawołał pan Suselka, zamożny handlarz koni. „Pieniędzy wiele, ale mało rozumu i statku, a uczciwości pewnie mniéj jeszcze. W nim już po ojcu niedobra krew płynie. Sześć lat będzie temu, jak mi stary ślepą szkapę za drogie wkręcił pieniądze, jeszcze mi potem moja stajnia zołzów od niéj dostała.“

„A i panna nic szczególnego“, wtrącił pan Wybierkiewicz. „Tylko stroić się, mizdżyć i bawić, ale żyć oszczędnie i gospodarnie, to jéj ani do głowy nie przyjdzie.“

„A jak hrabia panu Tomaszowi na św. Jan miejsce wypowie!“ zawołał pan Łyczek... „będzie bieda, oj będzie!“

„Oj, oj!“ zakończył pan Kozik, „za trzy lata to i siedzieć ze sobą nie będą!“

A nowożeńcom w téj chwili jasne przyświecało słońce, majowy wietrzyk woń kwiatów roznosił, las zielony szumiał radośnie, ptaszki śpiewały hymn weselny, cicha słomiana strzecha macierzyńskie rozpostarła skrzydła, serca drżały rozkoszą, świat cały uśmiechał się szczęściem, a Bóg błogosławił z niebiosów!...

Pan Filip ukazał się na progu obywatelskiéj izby z dwoma omszałemi butelkami węgrzyna; za nim postępował chłopiec, niosąc na tacy kilkanaście sporych kieliszków, a z nim razem zjawił się gość miły, choć niewidzialny, — wesołość i ogólne zadowolenie. Hojność taka nie była rzadką u pana Filipa a w błogie skutki nadzwyczaj obfitą. Kilkoma kwartami własnego fabrykatu, który do omszałych przelewał butelek, zjednywał sobie pan Filip przywiązanie i szacunek współobywateli, przyciągał wszystkich w swoje progi i niejeden korzystny ubijał interesik. Pan Filip rozlał wino łaskawym gościom, wziął kieliszek, stanął na środku izby, podmusnął jeżące się włosy i następującą palnął oracyą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Słów kilka o malarstwie i malarzach w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

II.

Druga połowa XVIII wieku dziwny zaprawdę przedstawia widok. Z jednéj strony straszny upadek, rozprzęrenie okropne, demoralizacya niesłychana, z drugiéj odradzanie się ducha narodowego. Na pierwszy rzut oka bagno olbrzymie, cuchnące i zaraźliwe, a jednak z n ego wyrastają białe lilie ducha, któremi jak ślepy król Derwid, naród paść się będzie w czasach niewoli...

Na pociechę przyszłéj męczennicy Opatrzność w jéj łonie zasiewa wszystkie kwiaty, by woń ich podtrzymywała mdlejącą przez długie lata męczeństwa. Język się oczyszcza, literatura odżywia, sztuki zaczynają kwitnąć, by przygotować naród do Mickiewiczów i Słowackich, do Matejków i Grotgerów... Król łaby aż do nikczemności, i panowie nie lepsi, instynktowo prawie opiekują się tą spuścizną, spuścizną jedyną niestety!...

Po literaturze malarstwo wraz z budownictwem pierwsze tu zajmuje miejsce. Stanisław August już to ze szczerego amatorstwa, już w chęci naśladowania wzoru króla, Ludwika XIV, serdecznie opiekuje się sztuką, ściąga malarzy, przepłaca ich, stwarza galeryą, bierze w opiekę młodzież zdolną, zachęca swym przykładem magnatów. Za jego też czasów spotykamy cały szereg malarzy Polaków, lub Polsce przyswojonych.

Na czele pierwszych, stoi bezsprzecznie zacny, wzniosły, prawie święty, pełen talentu a często natchnienia, przez Stanisława Augusta nieoceniony, a i dziś niedosyć ceniony, Szymon Czechowicz. Jest to postać prawdziwie chrześcijańskiego malarza. Bogobojny, cnotliwy, skromny, dobroczynny, przy olbrzymiéj pracy, żył prawie w ubóstwie, bo wszystkie dochody obracał na utrzymanie założonéj przez siebie szkoły malarskiéj, na zaopatrzenie jéj we wszystko, na kształcenie zdolnéj młodzieży. Ur. się w r. 1689 z ubogich rodziców, kształcony kosztem Ossolińskiego, uczeń sławnego Maratti, lat 30 przebył w Rzymie i niemałéj sławy tam używał. Wróciwszy do kraju mieszkał kolejno w Warszawie, w Podhorcach, Połocku i umarł w r. 1775 jako tercyarz kapucynów. Obrazami jego, po większéj części treści treści religijnéj, przepełnione są wszystkie kościoły całéj Polski. Znanych i opisanych Rastawiecki wyliczył jeszcze 278, a o samym malarzu znakomity ten znawca tak się odzywa:

„Szymon Czechowicz trzyma niezaprzeczenie pierwsze miejsce między malarzami polskiemi przeszłych wieków. Twory jego pędzla nacechowane są wielkiem przejęciem się klasycznemi tworami sztuki. Układ w nich prosty, nie wymuszony, lecz zawsze głęboko pomyślany; zasada jedności ściśle zachowana, wszędzie panuje naturalność i prawda. Rysunek jest poprawny; koloryt nie wrzaskliwy, rozważny, oku przyjemny. Ogólne wrażenie miłe, zajmujące słodyczą, harmonią i wdzękiem serca przenikające. Obok tylu zalet ważnych, nie jest wszakżo Czechowicz bezbłędnym i zarzucić mu nie raz przychodzi zaniedbanie w draperyach, czasami ciężkich i niezgrabnych.“ Obok téj pięknéj postaci stoi spokrewniona z nim rodzina Smuglewiczów. Pierwszy Łukasz, mierny malarz, miał jednak syna Franciszka, (matka jego była siostrzenicą Czechowicza) artystę prawdziwie niepospolitego. Wychowany przez ojca starannie, pierwsze początki otrzymawszy od znakomitego dziadka, młody Franciszek kolegował w Rzymie ze sławnym Dawidem, i przy konkursach niejednokrotnie otrzymywał nad nim pierwszeństwo. Wsławiony zdjęciem znakomitych arabesków w łaźniach Tytusa i innemi dzieła-





Turyści w Alpach.

mi, odrzucił bardzo korzystne ofiary magnatów angielskich i wrócił do kraju 1785 r. mając lat 40 życia. Odtąd pełen miłości ojczyzny malował na przemian religijne obrazy i sceny, historyi narodowéj. Miał on nawet zamiar wydać dzieje Polski w dwustu rycinach, ale brak sztycharzy i inne trudności ograniczyły to przedsiębiorstwo do 9 tablic tylko. W 1797 r. został profesorem malarstwa w uniwersytecie wileńskim, a umarł w 1807. Nie był to talent pierwszorzędny, ale zawsze znakomity. Młodzieńczych zwłaszcza lat utwory odznaczają się twórczością, bogactwem kompozycyi, szczęśliwym układem, znajomością dziejów. Zarzucają brak wykończenia, zaniedbanie rysunku w częściach nagich, ciężkość draperyi. W każdym razie dusza polska a jako malarz historyczny i typów ludowych, wielkie położył zasługi; bezinteresowność zaś jego stała się przysłowiem.

Rastawiecki wymienia 182 jego pędzla obrazów, z których w Trzemesznie w kościele po kanonikach regularnych, znajduje się św. Augustyn i malowania na ścianach, oraz cztery obrazy (z Iliady, z historyi rzymskiéj i biblii) u właściciela dóbr Dobrzyce, w powiecie krotoszyńskim.

Brat starszy Franciszka był bardzo dobrym malarzem al fresco i dekoracyjnym.

Wyższy od nich talentem, choć niższy wykształceniem artystycznem jest Michał Stachowicz, ośmnasty z rzędu syn drukarza krakowskiego, urodzony 1768 r. właśnie w chwili, gdy czteréj jego bracia ginęli na murach Krakowa, broniąc miasta przeciw Moskalom. Talent olbrzymi, wyobraźnia niesłychanie bogata, serce rozmiłowane w dziejach i ludzie ojczystym. Na nieszczęście Stachowicz tak kochał rodzinne miasto, że nikt, nawet Smuglewicz, namówić go niemógł do wyjechania z Krakowa. Nauka więc jego ograniczyła się do lekcyi miernych malarzy Molitora i Mołudzińskiego, i człowiek ten, stworzony na genialnego artystę, pozostał drugorzędnym malarzem, bo wykonanie nigdzie nieodpowiada potężnym pomysłom. Stachowicz malował bardzo wiele al fresco na ścianach i olejno. Wiele jest jego obrazów religijnych, ale więcéj czerpanych z dziejów współczesnych i z życia ludu. Był on prawdziwym illustratorem powstania Kościuszki i wojen Księstwa Warszawskiego, a patryotyczna i poetyczna ta dusza tworzyła najpyszniejsze pomysły, ile razy przyszło na płótno przelewać uroczyste i świetne dla narodu wypadki. Łatwość pracy miał niesłychaną.

W czternastu miesiącach np. ozdobił cały pałac biskupi szeregiem obrazów historycznych, a w niewiele dłuższym czasie namalował 11 wielkich obrazów do dziś dnia upiększających salę uniwersytetu Jagiellońskiego. Rastawiecki przytacza 74 z jego kompozycyi, z których niektóre numera mieszczą cały szereg obrazów.

Obok tych trzech znakomitych, możnaby przytoczyć wielu drugorzędnych i mniejszéj sławy malarzy Polaków. Tak, wielkich zdolności był Konicz Tadeusz, syn wyrobnika z Krakowa, malarz religijno - historyczny. Kształcony w kraju i w Rzymie kosztem biskupa Załuskiego liczne, i niepospolitéj wartości obrazy dla rozmaitych kościołów polskich malował, ale obojętny znać dla kraju, opuścił go stanowczo w 1758 r. i udał się do Rzymu, zkąd wezwany przez króla hiszpańskiego, na jego dworze życia dokonał. Tak Jan Gładysz ur. w Poznaniu 1762, za młodu kowal, potem malarz z niepospolitym talentem, byłby znakomitym artystą, gdyby nie szalona zarozumiałość. Tak Doliński ze Lwowa, malarz religijny i Rusin, również zasługuje na wzmiankę.

Z portrecistów Polaków rywalizował z Bacciarellim, Plersch Jan ur. 1732 w Warszawie, człowiek zacny i prawy, malarz zdolny, zostawił liczne portrety i był nadwornym malarzem Stanisława Augusta. Zdolniejszym a przynajmniéj słynniejszym od niego był Józef Pitschman ur. 1758, późniéj profesor w Krzemieńcu, zostawił podobno przeszło 500 portretów. Pink młodo zmarły zapowiadał znakomitego krajobrazistę, a Chodowiecka Zofia miała w Berlinie rozgłośną sławę znakomitéj pastelistki i wybraną została na członka akademii berlińskiéj.

Nareszcie wyżéj od poprzednich stojący, choć do późniejszych należący czasów, Peszka Józef, rodem z Krakowa, uczeń i nieodstępny towarzysz Smuglewicza, podróżując po Rosyi i Litwie, ozdabiał tam kościoły i zamki możniejszych wcale dobremi obrazami, treści przeważnie historycznéj.

Lista ta dałaby się jeszcze znacznie przedłużyć gdybyśmy chcieli wymienić wszystkich trzeciorzędnych artystów Polaków, których liczba w ostatnich latach zeszłego stulecia doszła do kilkudziesięciu. Wolimy jednak zrobić krótką choć wzmiankę o tych malarzach, którzy choć nie na polskiéj zrodzeni ziemi, pracowali dla niéj i w historyi polskiego malarstwa zaszczytne zajęli miejsce. Jest ich nie mało, bo Stanisław August i panowie ówcześni, daleko chętniéj jeszcze sprowadzali z zagranicy artystów, jak pomagali rodzinnym talentom.

Na czele tych przychodniów stoi znana, głośna, sympatyczna postać Bacciarellego. Urodzony w Rzymie 1731 r., szczęśliwy od początku do końca, bardzo młodo już dorobił się sławy i w r. 1753 wezwany został przez Augusta III do Drezna, a z królem tym będąc w Warszawie, poznał tam i zaprzyjaźnił się ze Stanisławem Poniatowskim. Skoro też ten ostatni królem został, Bacciarelli mimo zaszczytnych propozycyi dworu austryackiego, przybył do Warszawy, gdzie wkrótce, obdarzony szlachectwem, do śmierci późnéj, bo w r. 1818 przypadłéj, pozostał. Przystojny, wykształcony, poczciwy, grzeczny, miły w obejściu, skromny, dobroczynny, zaszczycony przyjaźnią króla, przebył długie lata wśród ciągłych tryumfów, zdobytych jednak pracą wytrwałą. Malarz królewski, historyczny i portretowy, organizator wszelkich festynów i zabaw, twórca galeryi i zbiorów królewskich, dyrektor królewskich budowli a potem i ogrodów, dziwić się trzeba, że ten człowiek mógł tyle prac zostawić po sobie. Rastawiecki bowiem wylicza ich 203, a same, te które się znajdowały w galeryi królewskiéj, ocenione były za 20,000 dukatow.

Nie był to talent nadzwyczajny, a co gorzéj ulegał modzie, i choć Włoch, naśladował szkołę francuzką, ale utwory jego pełne są lekkości i wdzięku, rysunek zwykle poprawny, koloryt trochę mdły, ale miły. Płodności dowodzi sama liczba utworów. I on utworzył szkołę w swojéj pracowni i darmo kształcił młodzież. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk i pierwszym profesorem malarstwa przy uniwersytecie warszawskim. Kiedy w r. 1787 odbywał podróż do Włoch i Południowéj Francyi, przez cesarza, papieża, króla sardyńskiego i neapolitańskiego przyjmowany był z wielkiemi honorami. To mu jednak nie zawróciło głowy. Przybraną ojczyznę pokochał serdecznie, i niemałe jéj oddał usługi, już to tworząc znakomite zbiory, już budząc zamiłowanie do sztuk i smak kształcąc, już wreszcie podnosząc kopalnie marmurów krakowskich, któremi zarządzał.

Sprowadzając Bacciarellego Poniatowski, zrobił szczęśliwy dla kraju nabytek. Przeważną część jego utworów stanowią portrety i obrazy historyczne.

Drugim towarzyszem króla znawcy, był rodak Bacciarellego, Wenecyanin, Bernarnard Belloti, zwany także Canaleto. I on przeszedł przez Drezno, i sprowadzony przez któregoś z magnatów, obrazem przedstawiającym elekcyą Stanisława Augusta, zyskał sławę i łaskę króla, a zatrudniony i pensyonowany pozostał w Warszawie aż do śmierci t. j. do roku 1780 a żona jego jeszcze brała 50 czerwonych złotych miesięcznéj dożywotnéj pensyi. Zdolniejszy od Bacciarellego,

choć mniéj bogaty w pomysły, odznaczał on się lekkością, perspektywą i siłą w oświetleniach. Szczególniéj celował w widokach krajobrazów i budowli. Obrazy jego w saméj galeryi królewskiéj, dochodzą liczby 59, prócz kilkunastu znanych zkąd inąd. Był on także dobrym bardzo sztycharzem. Do obcych artystów bardzo zasłużonych w Polsce należy także Norblin de la Gourdaine, Francuz z Drezna w r. 1772 przybyły do Warszawy, gdzie założył szkołę, która wydała Orłowskiego, Rustema i innych. Na starość wrócił do Paryża, gdzie umarł dopiero w r. 1820. Wielkich zalet są jego obrazy historyczne, zwłaszcza bitew, oraz rodzajowe i portrety.

Mało znany i nie dość ceniony Sylwester Mirys, Szkot, żył także i umarł w tamtych czasach w Polsce na dworze hetmana Klemensa Branickiego. Awanturnicza ta postać mogłaby posłużyć za treść do romansu. Przywieziony z zagranicy przez Jabłonowskiego, młody, żywy, przystojny, wkrótce dał powód opiekunowi swemu do zazdrości: ztąd uwięzienie, ucieczka, pojedynki. Zatém poszło chowanie się w klasztorach i w świetlicach pań wielkich awantury miłosne. Na starość zdziwaczał. Nie jadł nic ciepłego, malował tylko na starych ścierkach pozeszywanych. Obrazy jednak jego, których kilkanaście wymienia Rastawiecki, mają się odznaczać rysunkiem i kompozycyą. Koloryt miał zimny.

Lat kilka także bawił w Warszawie eden z największych portrecistów XVIII wieku Jan Lampi ojciec i wymalował tutaj wiele portretów rodziny królewskiéj i znakomitych osób, z których Rastawieckiego słownik 25 nr wymienia.

Obok niego, także jako dobry bardzo portrecista na wzmiankę zasługuje Marteau, Francuz, który pozostawił ciekawy zbiór portretów, mężów udział biorących w czwartkowych objadach. Do zbioru tego Naruszewicz dorobił życiorysy.

Józef Grassi, Włoch, przebywał także czas jakiś w Warszawie i pozostawił bardzo liczne prace.

Dominik Estrejcher, z Morawii sprowadzony przez H. Kołłątaja, był lubiony bardzo i często używany przez króla. Po rozbiorze kraju osiedlił się w Krakowie.

Na wspomnienie zasługuje Closse, rodem podobno z Warmii, nadworny malarz arcybiskupa Krasickiego, którego galeryą ozdobił portretami znakomitości historycznych, również Hübel, Niemiec, który wędrując napadnięty przez zbójców, zrobił ślub wstąpienia do klasztoru i natychmiast został pijarem. Malował bardzo wiele — mianowicie religijnych obrazów, a sama protekcya takiego jak Tyzenhaus znawcy, dowodzi, że nie był bez talentu. Prócz tych, każdy prawie magnat miał na swym dworze malarza, między którymi niejeden odznaczał się zdolnościami, ale ramy naszych artykułów nie pozwalają nam się w zbyt obszerne rozprawy wdawać.

Z rysu tego jednak można sobie ogólne o stanie malarstwa w wieku XVIII wyrobić wyobrażenie. Upadek sztuki był wtedy ogólny. U nas, którzy nie mieliśmy własnéj szkoły i jéj tradycyi, malarstwo rozwija się powoli, przeważnie pod wpływem dawnych malarzy włoskich. Takim jest Czechowicz i Smuglewicz. Ten ostatni jednak zaczyna już sięgać do tradycyi narodowych, a daléj jeszcze na téj drodze idzie samorodny i niewykształcony talent Stachowicza. Malarze wprzód jeszcze od poetów zaczynają szukać natchnienia w rodzinnych pięknościach. Równolegle, ale bez wielkiego wpływu Bacciarelli naśladuje szkołę francuzką. Ostatecznie jednak, chociaż niema geniuszów, a są talenta, zamiłowanie wzrasta i czuć już że Polska zacznie wydawać malarzy prawdziwych.

ROZMAITOŚCI.

(Turyści w Szwajcaryi.) Jesteśmy w środku letniego sezonu czarujące doliny Szwajcaryi ubrały się już w najpiękniejsze swe suknie. Bogate kwieciem łąki wiją się między ścianami skał, a gdzie niegdzie grupy drzew zieloych wznoszą się wśród nich. Z pomiędzy téj zieloności wyrasta skromna chatka wieśniaka i uprzejmie przechodnia do siebie zaprasza. Pośród tych bogactw natury masami z różnych stron świata snują się turyści. Najróżniéjsze między niemi znajdują się narodowości. Największéj jednak zwracają na siebie uwagę synowie i córy Albionu. Imponują oni bowiem nie tylko ilością ale i oryginalnością swéj powierzchowności. Wszystko na nich jest trwałe i nosi piętno mocy i wygody. Żaden zdaje się naród nie posiada tak trwałego obuwia, jak ci praktyczni mieszkańcy półwyspu. Najoryginalniejszą częścią ubrania zdają się być zielone i niebieskie wualki których przy kapeluszach zwykli używać dla ochronienia wzroku przeciw rażącéj w górach białości śniegu.

Wprost przeciwne robią wrażenie ruchliwe dzieci Francyi. Ubiór ich jest zwyklejszy i lżejszy. Tym ostatnim więcéj doliny niż wysokie szczyty gór do usposobienia przypadają; kiedy tymczasem Anglicy pną swoją wysmukłą postać aż na wierzchołki w chmurach spoczywające.

Najpowszedniéj i najmniéj fantastycznie jest ubrany turysta niemiecki, chociaż i między niemi znajdują się ciekawe typy.

Polacy nie mają wyłącznego typu — jedni ku praktyczności Anglików, inni znowu ku elegancyi Francuzów skłonność okazują.

Powyżéj trzy wspomniane narodowości stanowią główny zastęp turystów.

Załączona rycina przedstawia grupę Anglików wracających z gór na dolinę. Karawana podobna, pociąga bardzo swoją oryginalnością. Mięszanina eleganckich i w części nadpsutych podróżą tualet damskich, z nimi pięknemi kostiumami przewodników i z nieestetycznie obładowanemi mułami i amazonkami, daje obraz pełen rozmaitości. Starsze kobiety nie ufając własnym siłom, wolą w lektyce niesionéj przez przewodników przebywać pełne niebezpieczeństwa miejsca. I tak zwolna postępuje całe towarzystwo aż nim u celu nie stanie. Po szczęśliwém przybyciu do hotelu siadają wszyscy w koło jed ego stołu i pocieszając się dobrą kuchnią Szwajcarów, zapominają o przebytych trudach. Na pamiątkę jeszcze, nie jeden wyryje na kiju nazwisko zwiedzanych gór — a fakt ten ostatni zamyka historyą epizodu z podróży.

O dawnych ubiorach w Poznaniu.*)

Od niepamiętnych czasów sukna, jedwabie, złotogłowy, koronki, rozmaite futra, perly, kamienie drogie i inne stroje, używane były w Poznaniu. W szesnastym zaś wieku i na poczatku siedemnastego zbytek w téj mierze tak dalece, nawet pomiędzy niższemi klasami mieszkańców, wygórował, że magistrat zmuszony był powściągać go publicznemi zakazami. I tak np. w r. 1535 wydał postanowienie tyczące się dziewczyn służebnych, którego treść jest następująca: 1) Żadna z dziewczyn służebnych, mamek i szynkarek nie ma głowy swojéj zdobić jedwabiami kosmatemi, adamaszkiem i atłasem; nie ma się na ulicy pokazywać w czapkach jedwabnych, futrem kunim albo innem drogiem podbitych, pod karą niżéj opisaną. 2) Żadna z dziewczyn służebnych nie ma na przyszłość nosić kaplerzy i kitlic z jedwabiu kosmatego, adamaszku lub atłasu. 3) Postanawiamy także, aby żadna z tychże dziewczyn sukni swojéj nie przyozdobiała wyłogami z kosmatego jedwabiu, adamaszku, atłasu, z gronostajów i popielic. Wolno atoli dziewczynom służebnym używać na ten cel połatłasów, karazyi i t. d. jednakże w ten sposób, aby wyłogi te nie były szersze nad trzy palce. 4) Żadna z dziewczyn służebnych nie ma się poważyć nosić sukien szerokich, zwanych sajany,

*) Wyjątek z cennych poszukiwań tyczących się Poznania Józefa Łukaszewicza. (Przyp. Red.)

odznaczających się wielu faldami. Wolno im przecież używać sajanów, byle te więcéj nad siedm, lub ośm fałd nie miały. 5) Zakazujemy także, aby żadna z dziewczyn służebnych do stroju swego nie używała złota, śrebra i pereł; aby na polcach pierścieni złotych i srebrnych, a na szyi łańcuszków złotych, srebrnych i jedwabnych nie nosiła. Jeżeli zaś która z dziewczyn służebnych mamek albo szynkarek, to postanowienie nasze przestąpi, najprzód złoży 6 groszy kary; za powtórnem przestąpieniem zapłaci kary groszy 20, a za trzeciem utraci rzeczy, któreby w brew zakazu nosiła. Przestąpienie po czwarty raz zakazu karanem będzie wypędzeniem na zawsze z miasta. W r. 1621 wydał magistrat ustawę w celu przytłumienia zagęszczonych w mieście zbytków wszelkiego rodzaju. W ustawie téj mówi między innemi: „Co się zaś tknie szat i strojów stosując się do konstytucyi koronnych na plebejos i miejski stan w téj mierze uchwalonych, aby się droga do niechęci, obmowisk i szarpanin zawarła, postanawiamy, żeby żaden mieszczanin i miejskiéj kondycyi w naszém mieście obywatel, nie ważył się chodzić, tylko jako w statutach koronnych opisano. Półszarłacia osobliwie i jedwabiów świetnych i kosztownych, pętlic złotych, srebrnych i innych droższych, podszewek drogich, szafianów, a ktemu futer, oprócz kunich, lisich, marmurków także drogich, żeby zaniechano. Białe głowy kosztownych i drogich na czapkach bobrów, u płaszczyków sobolów drogich, aksamitów i felp ze złotem i innych drogich kosmatych materyi jedwabnych, kaziaczek ze złoten i passamonami, aksamitów wszelkich, atłasów, adamaszków na szatach, żeby nie zażywały, oprócz kitejek, czamlietów i innych podlejszych materyi, ogoniastych szat żeby nie robiono miejskich kondycyi białymgłowom, ani ich noszono: bo i krawcy o taką robotę i wymysły ich ku szkodzie ludzkiéj karani będą i ogony ucinać urząd każe i insze karania ekstendować będzie. Kołnierzów i krzyżów ze złotemi koronkami, kamieni drogich, łańcuszków, na wieńcach, strojów na głowach i zausznic nakształt szlacheckiego stanu ludzi, koron, żeby poniechano, wieszania klejnotów żeby skromnie i jako najmniéj było. A rozwieszania łańcuchów złotych do ziemi i niemi opasowania się, żeby się wystrzegano i onych penitus nie używano. Bo jako który, że chodzi nad stan i kondycyą swoją i takie łańcuchy od pasa rozpuszcza postrzegą, i urząd nasz surowie to karać będzie, i jeźli na jaką szarpaninę i hańbę przyjdzie, niech sobie po urzędzie naszym ochrony i obrony nie obiecuje, ani się do niego udawa. A iż w główniejszych miastach koronnych (między któremi miasto nasze) urzędniki pewne wyjęto, którem ozdobniéj nad insze chodzić w konstytucyi pozwolono, przeto tych obojéj płci napominamy, aby nad miejskiéj kondycyi stanowi kształt i barwy szat niezażywali, białogłowy łańcuchów od pasa do ziemi nie rozwieszały, strojów na wizerunek szlachecki wiarowały się, także płaszczyków rysowanych passamonami złotemi bramowanych i inszych odzieży kosztownych, pętlic i passamonów stanowi miejskiemu nieprzyzwoitych, ale żeby uczciwie ich odzienie bez ogonów i zbytków stan i kondycyą prze hodzących i zgorszenia było, bo inaczéj animadwersyi także nie ujdą“. Z tych postanowień magistratu widzimy, że ubiór obojéj płci mieszkańców Poznania nie różnił się w żadnéj epoce w niczém od ubioru szlachty. Kontusz najczęściéj granatowy, żupaw biały, czerwony lub wzorzysty z materyi jedwabnych, czapka biała z czarnem lub brunatnem futrem, buty czarne, niekiedy żółte lub czerwone, pas suty, srebrny lub złoty, guzy srebrne lub pozłacane, pętlice złote, srebrne lub jedwabne i inne ozdoby czamar, trzcina z gałką z słoniowéj kości lub złotą, stanowiły ubiór odświętny zamożniejszego obywatela poznańskiego. W zimie zabezpieczał się przeciw ostrości powietrza wilczurą, niedźwiedziami lub lisami. Mieszkańcy niemieccy, świeżo w Poznaniu osiedli trzymali się zwykle swego narodowego ubioru; a pospólstwo, jak się to i dziś dziać zwykło, ubierało się jak mogło. Kobiety nosiły suknie długie z rozmaitych materyi, gorsy srebrem lub złotem haftowane, na szyi noszenia złote, perły, korale itp. na rękach pierścienie i manele, na głowach czepce z perłami, czapki bobrowe, z złotogłowiu i t. p. materyi. W późniéjszych czasach używały sznurówek, rogówek, czepków a nawet kapeluszy z piórami strusiemi. W zimie okrywały się sajanami, czyli płaszczykami podbitemi rozmaitemi drogiemi futrami, jako to lisami, marmurkami, popielicami itp. Do ubioru kobiet z niższych klas należały w 16tym i na początku 17 wieku następujące przedmioty: letniki harasowe, mycki takież, królikami zwykle podbite, wacki (?), szarstuchy. W ogólności ubiór kobiet co do materyi i kroju daleko był niestalszym, niż ubiór mężczyzn.

Na bieliznę majętniejsi używali płótna kolońskiego, czyli holenderskiego, ubożsi płócien ruskich i domowych. Za czasów Stanisława Augusta mieszczki bogatsze naśladowały w ubiorach mody warzawskie; ubiór męzkij był taki sam prawie jak ubiór szlachty.

Kończąc ten artykuł o ubiorze, dodać jeszcze muszę, że w dawniejszych czasach ubiór i sprzęt męzki zostawiony po śmierci mieszczanina nazywał się hergewel; ubiór i sprzęt niewieści geradą. Pierwszy odziedziczali sami synowie zmarłego, drugi same córki, podobnie jak we wszystkich miastach, które się prawem magdeburskiem rządziły. Wszakże przez plebiscyt w r. 1611 uchwalony, a przez Zygmunta III potwierdzony, postanowiono równość w działach, to jest, tak synowie, jako i córki dzieliły się porówno wszelką w tym względzie puścizną po ojcu i po matce.

Szarada.

Mam ja liter cztery w sobie,
Jestem święta znana tobie.
Pierwsza z ostatnią — toż środkowe obie
Są podobne całkiem sobie.
Czytaj mię z przodu — z tyłu, jak ci się podoba,
Zawsze ja jestem taż sama osoba!

(Rozwiązanie szarady w nr. 24: ***Bóg — Bug — Buk.***)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Ziemskiemu w Berlinie. Za zwłokę przepraszamy. Do życzenia zastosujemy się. Panu Wilhelmowi w Poznaniu. Dziękujemy serdecznie za przesłanie nam nader zajmującego wspomnienia. W téj chwili wprawdzie drukować go nie możemy, mamy jednak nadzieję, że szanowny autor pozwoli nam zostawić swoją pracę do czasu późniéjszego. Dżentelmenowi z Prowincyi. Pomimo szczeréj chęci zrobienia Panu przysługi, panagirycznych pochwał o nim drukować nie możemy. Być może są one słuszne — ale drukowanie ich byłoby ubliżeniem dla chwalonego. Panu L. L. z Prus Zachodnich. Dobrze — ale chciéj nas Pan wprzód zapewnić, że wyrazy jego nie mają na celu żadnych osobistości. Odpowiedź na inserat w 25 numerze Pomyślności. W jednym z ostatnich numerów Pomyślności, spotkaliśmy się z inseratem krytykującym ostatnią rycinę i artykuł o psach. Polemika z tego rodzaju autorem nie byłaby dla nas stosowną. Jeżeli więc wspominamy o tém, to jedynie w celu wykazania coraz więcéj objawiającéj się choroby anonimów i płatnych anonsów. Co można sądzić o autorze kąsającym lub robiącym zarzut osobistościom, jeżeli nie ma dosyć szlachetnéj odwagi poprzeć twierdzenia nazwiskiem własnem? Zbrodnie w cieniu nocy szukają schronienia. Paszkwiliści i potwarcy zwykle pod płaszczyk anonimu twarze swe ukrywają. W téj formie, bądź dodalnie bądź ujemnie krytyki niepomyślnéj „Pomyślności“ ani złéj ani dobréj opinii Sobótce nie dadzą. Inserat podobny nie pismu naszemu, ale autorowi ujmę przynosi.

Ale sprawa ta jest małego znaczenia wobec pojawiających się dość często inseratów wymierzonych przeciw osobistościom. Chęć popisania się płaskim dowcipem lub chęć zemsty podobne wybryki inspiruje. W dziennikach dział anonsów, ponieważ jest płatnym, toleruje tego rodzaju nadużycia zapominając, że daje ludziom złéj woli wolność bezkarnego szkalowania lub wyśmiania innych. Na pozor niewinny żarcik jakże boleśnie, bo publicznie rani dotkniętego. Wytykanie publiczne błędów prywatnych osób, w skutkach jeszcze jest okropniejsze. Życie prywatne tylko pod pręgierz opinii towarzyskiéj, ale nigdy pod pręgierz stugębnéj opinii publicznéj stawiane być może. — Próg domu i wolność osobistą nawet mające za sobą siłę, prawo wszędzie szanuje. — Są to świętości zdobyte cywilizacyą, po którą tylko świętokradcy sięgają. W naszem przekonaniu są to zbrodnie w prawdzie nie ujęte w literę prawa ale stokroć obrzydliwsze niż kodeksem oznaczone. — Człowiek dopuszczający się podobnie niecnego czynu nazwisko zbrodniarza towarzyskiego słusznie nosić winien.

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym trzecim kwartale, upraszamy Szanownych abonentów Sobótki o odnowienie przedpłaty na kwartał przyszły i życzliwe popieranie naszego pisma.